

## **Pamiętniki tamtych świąt**

Żadnych wyjazdów do rodziny bez pisemnej zgody władz. Stary rocznik wciąż na służbie. Wydawanie paszportów wstrzymane. Kartki świąteczne cenzurowane. Żadnych życzeń przez głuchy telefon. Telegramy tylko na wypadek śmierci. Tylko symbolicznych, pustych talerzy na wigilijnych stołach, więcej niż co roku.

Dzieci, które poczęły się tej zimy, są już pełnoletnie. Co one z tego rozumieją? Pewnie nic. I pewnie tak jest dobrze.

## **Ból w sercu**

Leśniczówka Klepacze leżała na skraju puszczy Świętokrzyskiej. To był dom z tradycjami. Kiedyś w Klepaczach nocował Hubal. W końcu lat siedemdziesiątych osiadła w niej rodzina Siwców: leśniczy Zbigniew Siwec, syn „Wołodyjowskiego”, partyzanta, zastępcy dowódcy AK okręgu Świętokrzyskiego, żona leśniczego i trójka drobiazgu.

- Od pierwszego dnia stanu wojennego czułem taki żal do mego ojca - przyznaje leśniczy- że mi nie powiedział przed śmiercią, gdzie pod koniec wojny AK ukryło składy broni i amunicji. Przychodzili do mnie chłopcy z okolicznych wiosek i pytali, czy Siwec nie wie, gdzie to jest. Kielecczyzna chciała po staremu organizować partyzantkę. Na początku nikt nie rozumiał, co to jest, ten stan wojenny. Dla nich to była jakaś wojna, którą musieli wygrać. Wszystko ją przypominało. Były zrzuty. Leśniczy nigdy się nie dowiedział, czyje samoloty i co spuszczały na młodniki. Lasy były tak obstawione przez wojsko i milicję, że nigdy mu się nie udało dotrzeć przed nimi do miejsca, w którym spadł spadochronik.

Leśniczówka była wciąż sprawdzana. Czy kogoś lub czegoś nie przechowują. Mundurowi i cywile powtarzali za każdym razem, że mogą się u nich pojawić jacyś ludzie, którzy będą źle mówić po polsku. Mieli o tym natychmiast powiadomić odpowiednie władze.

Leśniczemu nie w głowie były święta. Martwił się o mamę.

Siwcowej też nie szło to szykowanie potraw na wigilię. Patrzyła jak mąż chodził po domu i coś mamrotał pod nosem. Odmówili mu przepustki, nie mógł pojechać po matkę. Mieszkała tylko 20 kilometrów od nich. Była już bardzo schorowana. Wiedzieli, że siedzi w domu i płacze. Dotąd zawsze wszystkie święta spędzali razem. Gdzie by nie mieszkali, jak by nie było biednie, zawsze przez śniegi ruszali w drogę. A tym razem się nie dało. Opuścić miejsce stałego zameldowania można było jedynie za zgodą Naczelnika i Komisarza. W tym przypadku inny komisarz musiałby się zgodzić na wyjazd Siwca po matkę, a inny na opuszczenie przez nią jej wioski i wyjazd do syna. Siwec nie miał szansy na jakikolwiek

przywilej, nawet pozwolenie na krótki wyjazd poza granicę własnego lasu. Przeszłość ojca partyzanta, a i jego, niezbyt dla miejscowego SB jasna, musiały mu w tym przeszkodzić.

- To była większa bezradność niż ta wobec Jaruzelskiego i całej jego armii. Taka całkowita niemożliwość zrobienia tego, co się należy. Nie pojechać po matkę na wigilię, to tak jakby mieć zdrowe nogi, a nimi nie chodzić, tylko jeździć na wózku. Wtedy zrozumiałem, że ani nienawiść, ani złość, ani nawet miłość nie jest uczuciem silniejszym, niż ta uświadomiona do końca bezradność. Bo ona tak bez reszty obezwładnia, odbiera rozum i wchodzi w serce.

Wsiadł do malucha. Myślał, żeby pojechać im wszystkim na złość, prosto pod broń, przez najbliższą wieś. Chciał ich sprowokować. Niech strzelają, niech zabijają i niech to wszystko się skończy.

Na szczęście do wsi były 4 kilometry. W połowie drogi ochłonął i skręcił w las. Było już ciemno, gdy samochód Siwca utknął w zaspie. Przypomniał sobie, że żona na pewno bardzo się martwi, że dzieci są małe i nie wiedzą o co chodzi, jeszcze bardziej niż on.

- Wybuchnąłem płaczem. W sercu poczułem taki straszny ból. Chyba gorszy niż przy zawale. Wróciłem do domu.

Stół był nakryty, żona kuciała w kącie i trzymała na rękach najmłodszego synka.

- Płakaliśmy przy opłatku. Miałem wrażenie, że jest ciemno, chociaż paliło się światło. I ciągle jeszcze bolało mnie serce.

Następnego dnia wcale nie pamiętam.

- Pierwszego dnia świąt chyba w ogóle nie było, bo też nic sobie nie mogę przypomnieć – potwierdza Siwcową.

### **Pamiętnik z Falklandów**

Ryszard Marynka pływał w przedsiębiorstwie „Transocean Szczecin”. Tamtej zimy znalazł się na statku Kaszuby II na Falklandach. Zawozili do tamtejszej bazy zaopatrzenie, a odbierali mrożone ryby. Normalna praca.

Krótko przed tym rejssem zaręczył się z córką wojskowego. Rodzice mieli więc nadzieję, że wróci, choćby ze względu na swoją Anię. Nie było od niego żadnych wieści. Ale skoro od nikogo nie było, więc sama siebie uspokajali, że to nic nie znaczy. Jak się ma w domu marynarza, trzeba się przyzwyczaić.

Leokadia Marynka nie pamięta nawet, co jej się udało zdobyć na wigilijny stół. Nic jej to nie obchodziło. Najważniejszy, jak zwykle, był opłatek.

- Niby taki sam, jak zawsze, ale stawał w gardle. Dzieliliśmy się nim z mężem i z córką, ale zamiast życzeń, za stołem był jeden szloch. Co spojrzeliśmy sobie w oczy, żeby coś

powiedzieć, usta się wyginały i znowu płacz. To nie był nawet strach, tylko ta niepewność, co będzie dalej i o co tu tak naprawdę chodzi. Łatwiej się człowiekowi bać, jak wie czego.

Po kolacji poszli, jak co roku, na spacer szczecińskim pasażem. Wzięli ze sobą ciasto i opłatek. Na ulicach stały skoty. Przy koksownikach rozgrzewali się żołnierze.

Podeszła do nich. Nie chcieli ciasta. Wzięli opłatek. Jeden z żołnierzy, taki młody, jak jej syn, pocałował ją w rękę i się rozplakał.

Pasterki z Watykanu wysłuchali z radia, chyba Wolna Europa, bo strasznie trzaskało. Rano postanowili odwiedzić narzeczoną Ryśka. Nie udało się. Mieszkała z rodzicami w wojskowym bloku. Przed domami, w których mieszkali żołnierze zawodowi, stali umundurowani i uzbrojeni wartownicy. Mieli chronić rodziny wojskowych przed ewentualnymi aktami agresji ze strony cywili. Przed blokiem Ani też stało wojsko pod bronią. Nie wpuściło gości.

Zaraz po świętach przyszedł list od brata pani Leokadii, z Sycowa. W środku była robiona kartka ze żłóbkim, którego pilnowali zomowcy zamiast pasterzy. Z tyłu był tekst. „(...) Niechże Jezus leży spokojnie i grzecznie/ monarchowie nie przybędą, bo tu niebezpiecznie(...)”. Początkowo nie dowierzała, że taki list mógł przewędrować przez całą Polskę, z Dolnego Śląska na Wybrzeże. Prywatna korespondencja, zgodnie z przepisami stanu wojennego, mogła być oficjalnie cenzurowana. Gdyby tak otworzyli ten list... Obejrzała kopertę. Zaraz pod adresem przybita była pieczętka „ocenzurowano”.

- Zaczęłam się śmiać i cały strach mi przeszedł. Znowu udają, że pracują, nawet jak prześladują, pomyślałam.

Syn Ryszard wrócił z Falklandów już w styczniu. Pokazał matce swój dziennik, takie zapiski, które zawsze robił w czasie rejsu. Tym razem był to prawdziwy pamiętnik.

- Dopiero wtedy zrozumiałam, jakie informacje do niego docierały, co sobie wyobrażał o sytuacji w Polsce i jak straszne musiał się bać. Wyglądało na to, że jak się tam nasłuchiwał radia i naczytał gazet, to doszedł do wniosku, że tu są łapanki jak w czasie II wojny światowej, a obozy internowania to prawie obozy koncentracyjne. A mimo to wrócił. Dobrze, że miał narzeczoną.

### **Europejskie święta**

Mieli je po raz pierwszy spędzić za granicą. Krzysztof Zielnica wyjechał na stypendium naukowe do Berlina Zachodniego w październiku 1981 roku. Żona Aleksandra miała odebrać paszport 16 grudnia, dojechać na wigilię i zostać do sylwestra. Mieli sobie pierwszy raz w życiu zafundować europejskie święta, pierwsze poza domem. Nie wyszło.

Berlińska wigilia odbyła się więc bez opłatka. Niemcy nie znają tego zwyczaju, a żona, która miała go przywieźć, nie dojechała.

- Zaprosił mnie na ten wieczór profesor Biskup, również stypendysta, z żoną. Pamiętam, że były jakieś placki i łakocie. Pierogi chyba też. To co jedliśmy, nie było dla nas ważne. Płakaliśmy jak bezradne dzieci i składaliśmy sobie życzenia, żeby stan wojenny jak najszybciej się skończył, żebyśmy mogli wrócić do domu.

Z informacji telewizji niemieckiej wynikało, że w kraju jest tak niebezpiecznie, że nikt nie myślał o powrocie „zanim to się nie skończy”. Znajomi Niemcy przekonywali polskich stypendystów, że „lepiej słać paczki do domu, niż pchać się w to piekło”.

Pierwszy dzień świąt przesiedział przed telewizorem. Dużo było zdjęć z Polski, ale z jego Wrocławia, jak na złość, nic. Telefon w domu nie odpowiadał. Wiedział, że łączność międzynarodowa jest zerwana, ale co to szkodzi spróbować.

Do Wrocławia udało się natomiast przyjechać na wigilię mamie pani Aleksandry. Widok żołnierzy na ulicach i umundurowanych spikerów w telewizji, uwolnił w jej pamięci to, co przeszła w czasie wojny. Mordy na Wołyniu, obóz koncentracyjny, tułaczkę. Wpadła w straszną depresję i ten stan zaczął się udzielać całej rodzinie. W domu Zielniców nie było leków na serce. Nie można było pójść do lekarza, bo mama nie była z tego rejonu.

- Czułam się zupełnie bezradna. Z pierwszego dnia świąt pamiętam tylko, że szłam na mszę i mijałam ludzi takich zgiętych, jakby przygarbionych. Niektórzy płakali. Nikt się nie wstydził. Teraz myślę, że to dziwne.

### **Mundur ustawił po stronie**

Do Żagania trafił jako młody lekarz prosto po stażu. 11 grudnia dostał mieszkanie. Kawalerkę blisko jednostki. Musiał ją szybko pomalować, ściągnąć meble z rodzinnego domu, żeby z tym wszystkim zdążyć przed świętami.

Przyjechała Basia. Chciała pomóc przy remoncie, chociaż była już w ciąży. To miało być ich pierwsze Boże Narodzenie razem, w pierwszym roku po ślubie. Przywiozła ze sobą opłatek.

W nocy z 12 na 13 grudnia wojskowa ciężarówka przywiozła meble. Zdążyli je rozładować, ale wnieść mieli rano, jak koledzy wstaną.

Rano jednak był apel, na którym usłyszeli, że jest stan wojenny.

- Dopiero wtedy poczułem, po której stronie serce bije – przyznaje Adam. – Dotąd polityka dla mnie nie istniała. Owszem, chodziłem do kościoła i nosiłem krzyżyk na szyi, co na Wojskowej Akademii Medycznej nie ułatwiało mi życia, ale nic poza tym. Wybrałem WAM, bo matki nie byłoby stać na zwykłe studia i utrzymywanie mnie przez 6 kolejnych lat nauki.

Mnie natomiast interesowała tylko medycyna, nie wojsko. Teraz zrozumiałem, że mundur ustawia mnie po jednej stronie, a serce bije po drugiej.

Cała jednostka trafiła pod Wrocław, do Wróblowic. „Pilnować wielkiego miasta ze znaczną ekstremą”. Na szczęście on i inni wojskowi lekarze, chociaż dostali krótką broń, nadal mieli tylko leczyć.

Cywile z wioszek podchodzili do ich namiotów. „Nasz doktor nie dojechał, bo mieszka we Wrocławiu, a tu dzieciśka chore”.

- Jeździliśmy więc po chałupach i wydawaliśmy antybiotyki z wojskowych zapasów. Szefostwo przymykało na to oczy. Ludzie nas karmili, chcieli stawiać wódkę i pytali, czy my na pewno nie Rusczy.

Wigilię urządzili w hangarze. Za długi stołem usiedli wszyscy razem. Kadra i żołnierze. Dowódca powiedział tylko kilka krótkich zdań. Jakies życzenia. Żadnej polityki.

Każdy, jak się okazało, miał ze sobą opłatek. Nawet dowódca dostał go od żony na drogę, chociaż ona była szychą w KW PZPR. Dlaczego zadbali o to 11 dni przed świętami? Sam nie jest pewien. Przeczucie, że wyjeżdżają na dłużej, czy strach i pragnienie, żeby mieć przy sobie taki kawałek białej nadziei, że wszystko będzie dobrze.

Kolęd nie było. Dorosłe, mundurowe chłopcy płakały jak bobry.

- Myślałem o Basi i o pustym mieszkaniu bez mebli. Nie wiedziałem, czy siedzi tam na podłodze czy udało jej się wrócić do rodziców. Wiedziałem tylko, że płacze.

Całe święta jeździli po wsiach do chorych. Ludzie pchali w nich ciasto i stawiali wódkę. Adam nie pił. Jedzenie też mu nie szło. Nie dla tego, żeby był jakiś szczególnie porządny.

- Po prostu miałem cały czas ściśnięte gardło. Koledzy przeciwnie. Jednego w pierwszy dzień świąt sanitariusze przywieźli do Wróblowic na noszach.

### **Świczki w oknach**

Nastroje smutne, sklepy puste, żadnych planów, żadnych spotkań rodzinnych, żadnego sprzątania. Potrawy jakies takie prymitywne, nie to co normalnie na stole w święto u Wieczorków.

Stan wojenny przyspieszył zimowe ferie w szkole, więc Janina Wieczorek, nauczycielka klas młodszych, miała jak nigdy czas, żeby zająć się przygotowaniem świąt. Tyle tylko, że wcale jej się nie chciało. Dopiero w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że trzeba by dostać jakichś grzybów, żeby ten stół chociaż trochę pachniał normalnością. Chodziła po targu, po sklepach i nic. Wracała do domu zrezygnowana, gdy tuż przed swoim blokiem spotkała kobietę z

plastycznym woreczkiem w rękę. Przez folię prześwitywały białe łąbki pieczarek. Zapytała, gdzie je kupiła. Nieznajoma nic nie odpowiedziała.

- Popatrzyła tylko na mnie, wyjęła z torebki cztery pieczarki i mi je dała. Świat zaczął mi się rozmazywać. Ona chyba też płakała.

O choince przypomniała sobie jeszcze później. Specjalnych stoisk nie było.

Gdzieś w okolicy ul. Jedności Narodowej, na takim maleńkim placu, znalazła w końcu jakieś marne, pooblamywane drzewko. Szła z nim pieszo przez pół Wrocławia, bo nie było czym dojechać. Niosła je to pod pachą, to na plecach. Była zmęczona, jakaś taka bezwolna i zgięta, jak pod znacznie większym ciężarem. Przed Dworcem Świebodzkim, tuż przy moim domu, zatrzymałam się, żeby odpocząć.

Było już ciemno. Podniosła głowę i zobaczyła, że stoi między czołgiem a kosiakiem, przy którym zomowcy grzali ręce.

- Był mróz, biało dookoła, jakaś jedna żółta latarnia, para z moich ust, para z ich rąk, ja z tą choinką przy tym czołgu, w oknie na parterze moja córka rozglądała się nerwowo. Jaka to groteskowa sytuacja – pomyślałam wtedy. Ta scena wraca mi co roku, przy kupowaniu choinki.

Jedliśmy w milczeniu. O czym by się nie chciało pogadać, wydawało się niestosowne albo nieistotne.

Radio Wolna Europa podało, że na znak Solidarności z Polakami, prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan zapalił w wigilijny wieczór świeczkę w oknie swojej rezydencji. Pani Wieczorek postanowiła zrobić to samo.

Mąż ją okrzyknął, że ściągnie na nich jakieś nieszczęście, ale go nie słuchała.

Późnym wieczorem wyszli na spacer. W większości okien stały świeczki. Przyszedł spokój.